

IRENA KARCZEWSKA

ur. 1928; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, pies, zabawy z psem, dzieciństwo, historia brata stryjecznego, ulica Narutowicza 13

Mieliśmy wspaniałego psa bernardyna, który miał swoje sympatie i antypatie

Miałyśmy bernardyna, takiego psa olbrzymiego, świetny, silny pies, ale rozpieszczony. Dawniej lekarze dostawali próbki lekarskie, to pies wszystkie witaminy zjadał, więc był bardzo zdrowy i silny. Odprowadzała moja mama sama, czy ze mną, ojca do chorego, a pies się nie chciał ruszyć, czekał na ojca. Ale jakoś tam zawsze się go zabierało. Miałam stryjecznego brata, bo on już nie żyje, wychowanek moich rodziców, bo jemu ojciec zmarł w 1918 r. na hiszpankę. Miał parę miesięcy, i mój ojciec obiecał, że pomoże go wychować. Jak miał jedenaście lat, to wzięli go rodzice moi do Lublina, skończył szkołę Staszica, i dostał się na stomatologię przed wojną, ojciec finansował, bo to nie tak jak teraz, że się nie finansuje, tylko to się samemu finansowało, i to sporo. I nie skończył tej stomatologii, bo wojna wybuchła, ale już był na ostatnim roku, tak że już prawie był lekarzem. I w czasie okupacji pracował jako lekarz stomatolog, najpierw u Piechowskiego w gabinecie na Narutowicza 13, potem musiał w tej ubezpieczalni pracować. Jeszcze jako student chodził z psem na spacer. Ale jak pies chciał gdzieś podejść, to mój brat jechał na butach, to taka śmieszność. A w ogóle to z Ciężkowic został przywieziony, to jest trzydzieści siedem kilometrów za Tarnowem, hodowali tam właśnie psy. To był taki mały szczeniaczek. Był bardzo grzeczny, siusiu nie robił. Zanosił się go do ubikacji i wtedy siusiu robił. Miał swoje sympatie i antypatie. Jednej mojej koleżanki strasznie nie lubił, Lis Teresy, strasznie jej nie lubił, trzeba było go zamykać, bo warczał i zęby pokazywał. Kiedyś mi zjadł stroiczek wielkanocny, marcepanowy. Bawiliśmy się w chowanego, nawet lampę kiedyś stłukliśmy. Ja się gdzieś w kącie chowałam, a on był w kuchni chowany, nie miał takiego świetnego wężu, więc latał i szukał, i szukał. Ja miałam takie długie warkocze grube, no to jak mnie znalazł, to za warkocze do tyłu i z warkotem leciał do mojej matki, że mnie znalazł. Zabawny był. Potem moja matka jak leciała do dzwonka, to pies za nią i szczypał ją w pośladki, ale to bolesne dosyć. Moja mama wzięła chusteczkę i w nos go ugryzła i skończyło się, zrozumiał. Śmiesznie byłoby,

gdyby on był tresowany, to byłby wspaniały pies, ale nie był tresowany. Przed samą wojną rodzice oddali go do majątku, chyba do Woźuczyna.

Moja mama musiała mieć specjalne palto jak wychodziła z psem i specjalny kapelusz, dlatego że jeżeli było błoto między palcami albo śnieg, pies tego nie znoślił, no i do tyłu skakał i o palto wycierał łapy. Jak miał nos mokry, też tego bardzo nie lubił, to znowu wycierał nos w kapelusz. Miałam sanki, była uprząż i on mnie ciągnął na sankach, ale jak mu się znudziło, to przewracał sanki. Nawet ugryzł mnie kiedyś jak był zdenerwowany. Fajny był, ale jak byłam na wakacjach, to już dla mamy był za kłopotliwy i oddała go [do Woźuczyna]. I w czasie wojny, bo on lubił się kąpać, w stawie się wykąpał, zimna [woda] była i dostał zapalenia płuc, no i nie było go.

Data i miejsce nagrania	2016-01-22, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Justyna Lasota
Redakcja	Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"